

*Fantomowa publiczność*¹ (fragmenty)

Prace
Kulturoznawcze XVIII
Wrocław 2015

Rozdział II Nieosiągalny ideał

Usiłowałem sobie wyobrazić, w jaki sposób można byłoby stworzyć doskonałego obywatela. Niektórzy będą twierdzić, że musiałby już się urodzić odpowiednio uposażony genetycznie — na kartach książek Madisona Granta, Lothrop'a Stoddarda i innych rewiwalistów widziałem nawet wskazówki dotyczące tego, kto kogo powinien poślubić, by owocem związku byli prawi obywatele. Nie będąc biologiem, pozostaję w tym względzie otwarty i pełen nadziei, nieco jednak stłumionej przez wiedzę o tym, że pewność autora co do tego, jak w człowieku zaszczerpić daną zdolność, jest odwrotnie proporcjonalna do naukowej reputacji tegoż autora.

W następnej kolejności zwracamy się więc, co logiczne, w stronę edukacji — to ona właśnie wypełniała ostatnie rozdziały wszystkich optymistycznych książek o demokracji, jakie powstały w ciągu ostatnich stu pięćdziesięciu lat. Nawet tak srogi i nieustępliwy antysentymentalista jak Robert Michels w swoich uwagach końcowych wygłosił myśl tego rodzaju: „jest doniosłym zadaniem powszechnej edukacji podnoszenie poziomu intelektualnego mas, tak by mogły one — w ramach tego, co możliwe — przeciwdziałać zapędowi oligarchicznemu” całego zbiorowego działania.

¹ Tłumaczenie za edycją: W. Lippmann, *The Phantom Public*, nowy wstęp W.M. McClay, New Brunswick-London 1993 [wyd. pierwsze, New York 1925], credit: Republished with permission of Transaction Publishers, from *The phantom public*, Lippmann, Walter, Copyright © 1993; permission conveyed through Copyright Clearance Center, Inc.

Czytałem więc podręczniki do nauczania postawy obywatelskiej dopuszczone do użytku w szkołach i koledżach. Po zapoznaniu się z nimi nie wiem, jak można uniknąć wniosku, że dobry obywatel musi mieć intelektualny apetyt encyklopedysty i dysponować nieograniczonym czasem. Rzecz jasna, nie oczekuje się już od niego znajomości dokładnej wysokości zarobków urzędnika hrabstwa czy długości kadencji koronera. W nowej teorii obywatelskości dobry obywatel studiuje problemy zarządzania, nie zaś strukturalne szczegóły. Mówi się mu, na pięciuset zwężonych, pełnych spornych treści stronach jednego z podręczników, o problemach miejskich, problemach stanowych, problemach narodowych, problemach międzynarodowych, problemach przedsiębiorczości, problemach pracowniczych, problemach logistycznych, problemach bankowych, problemach wiejskich, problemach rolniczych — i tak w nieskończoność. Na jedenastu stronach poświęconych problemom miasta wyróżniono jeszcze dwanaście podproblemów.

Nigdzie jednak, w tej pełnej dobrych zamiarów książce, nie ma wzmianki o tym, w jaki sposób suwerenny obywatel przyszłości, zarabiając, wychowując dzieci i ciesząc się życiem, ma jeszcze znaleźć czas na baczne przyglądanie się temu bezmiarowi nawarstwiających się stale problemów. Nawołuje się go do zachowywania naturalnych złóż kraju, bo ich zasób jest ograniczony. Zaleca się mu czujną obserwację wydatków publicznych, bo podatnicy nie będą przecież mogli opłacać ciągle, w nieokreślony sposób, wzrastających kwot. Jednak od niego, wyborcy, samodzielnego obywatela, oczekuje się najwyraźniej nieograniczonych zasobów ducha społecznego, zainteresowania, dociekliwości i wysiłku. Autor podręcznika, pisząc, jak sądzi, o wszystkim — od sytuacji szwaczek w miastach po indiańskie opium — pomija fakt podstawowy: obywatel mało czasu poświęca sprawom publicznym, mało interesują go wiadomości i mało ma chęci do teoretyzowania.

Nigdy nie zdarza się temu nauczycielowi obywatelskich powinności podać uczniowi do wiadomości zasady, którą mógłby się kierować, chcąc wiedzieć, czy w czwartek ma rozmyślać o sprawach brooklyńskiego metra, czy jednak mandżurskiej kolei; preceptor nie mówi też, skąd uczeń ma wziąć czas, by nadrobić zaległości w swej wiedzy o metrze, skoro zdecyduje się wyrazić swą niezależną opinię o nim w czwartek, a w środę zajęty był wyrażaniem swej niezależnej opinii o kredytach rolniczych w Montanie i brytyjskim ustawodawstwie w Sudanie. Jako że obywatel nie może wiedzieć wszystkiego o wszystkim przez cały czas, to gdy będzie przyglądał się jednej rzeczy, tysiąc innych zdąży znacząco się zmienić. Jeśli nie będzie w stanie znaleźć jakichś racjonalnych podstaw obrania jednego punktu, z którego obserwacja najwięcej przyniesie pożytku, to jego amatorskie wysiłki zdadzą się o tyle, że będzie równie skonfundowany jak szczeniak usiłujący dobrać się do trzech kości naraz.

Nie chcę przez to powiedzieć, że uczeń nie wyniesie żadnego pożytku z wycieczki krajoznawczej po problemach świata. Może go ona nauczyć, że świat jest skomplikowany [...]. Może też nauczyć go pokory, jednak z całą pewnością zna-

jomość poglądów pryncypialnego autora na rzekome problemy Stanów Zjednoczonych w 1925, nie pomoże uczniowi w radzeniu sobie z problemami Stanów Zjednoczonych dziesięć lat później. Jeśli przez studiowanie ulotnych problemów nie nabędzie się pewnej całościowej postawy intelektualnej, nie może być w ogóle mowy o odbytej edukacji.

Z tych względów zwyczajowe uciekanie się do edukacji jako remedium na ułomności demokracji jest tak jałowe. To w gruncie rzeczy propozycja, by nauczyciele w magiczny sposób przysposabiali uczniów do samorządności po tym już, jak prawodawcy i głosiciele ideałów obywatelskich, mając wolną rękę, zdążyli spisać wytyczne. Reformatorzy nie pytają o to, czego człowiek może być nauczony. Twierdzą, że musi być nauczony wszystkiego, cokolwiek może być potrzebne, aby dopasować się do współczesnego świata.

Owo uciekanie się do edukacji może przynieść tylko rozczarowanie. Problemy we współczesnym świecie pojawiają się i zmieniają szybciej, niż jakikolwiek nauczyciel może je uchwycić — o wiele za szybko, by zdążyć przekazać ich sens grupie uczniów. Jeśli szkoły starają się nauczyć dzieci, jak rozwiązywać problemy teraźniejszości, to skazują je na ciągle pozostawanie w tyle. Tym, co najwyżej mogą usiłować zrobić, jest nauczenie wzorów myślenia i czucia, które umożliwią obywatelowi jakoś pożyteczne rozwiązywanie problemu. Wzór ten jednak nie może być wymyślony przez pedagoga. Leży to już w interesie teoretyka polityologii. W zadaniu tym musi mu przyświecać myśl, że masy nie mają geniuszu politycznego, ale że ludzie, nawet jeśli bywają geniuszami, mało czasu poświęcają sprawom publicznym.

Moralista, jak się obawiam, przyzna nazbyt prędko rację stwierdzeniu, że edukacja społeczna musi uporać się przede wszystkim nie ze składowymi przejściowymi problemami, ich kolejnymi stadiami i rozwiązaniami dla nich przewidzianymi, ale z zasadami, które mają ukonstytuować pewną generalną postawę względem wszystkich problemów w ogóle. Muszę wszakże przestrzec tego moralistę. Trzeba więcej niż dobrego sumienia, by rządzić współczesnym społeczeństwem, bo sumienie nie jest przewodnikiem w sprawach, w których zasadniczą trudnością staje się właśnie odnalezienie przewodnika po sumieniu.

Gdy mam się myślnie o tym, że ludzie mogą zostać przysposobieni do radzenia sobie we współczesnym świecie tylko przez wyuczenie ich moralności, manier i patriotyzmu, usiłuję sobie przypomnieć opowiastkę o zamyślnym Profesorze chodzącym o zmierzchu po lesie. Wpadł on na drzewo. Ten wypadek zmusił go do działania. Będąc człowiekiem honoru, dobrze wychowanym, uniósł swój kapelusz, skłonił się drzewu głęboko i zawołał głosem pełnym szczerzej skruchy: „Niech pan raczy wybaczyć! Myślałem, że jest pan drzewem”.

Czy jest uczciwym, pytam, z moralnego punktu widzenia, ganić Profesora za jego zachowanie? Gdyby napotkał drzewo, czy można by mu zakazać prawa do zderzenia się z nim? A jeśli jednak wpadł na mężczyznę, czy jego przeprosiny były niewystarczające? Zasady moralne zostały tu zachowane w idealnym porządku.

Jedynym spornym aspektem działania profesora okazała się nie dobroć jego serca, nie zasadniczość jego przekonań, ale fakt, do którego się odnosiły. Można na to odpowiedzieć, że było jego moralną powinnością znać różnicę między mężczyzną a drzewem. Być może. Przyjmijmy jednak, że nie chodziło o spacer po lesie, ale oddanie głosu podczas wyborów. Przyjmijmy, że chodziło o sprawę cła Fordneya-McCumbera. Jak bardzo wzrośnie wówczas powinność znajomości prawdy, którą narzucimy Profesorowi? Ostatecznie ten amator spacerów w ciemnym lesie z umysłem zaprzątniętym innymi sprawami stanął, tak jak wszystkim nam to się zdarza, wobec faktów, które podpowiedziała mu wyobraźnia i spełnił swój obowiązek, tak jak został tego nauczony.

W pewnym stopniu cały ożywiony świat wydaje się podzielać tę niekompetencję zamyślonego Profesora. Pawłów wykazał w swoich doświadczeniach z psami, że zwierzę, nawet nie jedząc, może doświadczać całej przyjemności jedzenia, a liczbę myszy i małą przechytrzonych w laboratoriach przewyższa jedynie liczba obywateli żywiących nadzieje co do demokracji. Odruchy człowieka są, jak mówią psycholodzy, warunkowe. Stąd też reaguje on żywo na szklane jajo, sztuczną kaczkę, wypchaną koszulę czy program polityczny. Żaden kodeks moralny, jako taki, nie pozwoli mu rozstrzygnąć, czy swoją zdolność dokonywania wyborów etycznych ćwiczy na prawdziwym i istotnym przykładzie. Do praktykowania prawdziwej cnoty, jak bardzo dawno temu zauważył Sokrates, potrzebna jest wiedza, a kodeks dobrego i złego musi czekać, aż zostanie puszczonego na niego strumień światła prawdy i fałszu.

Nawet jednak umiejętne posługiwanie się kodeksem moralnym nie przyczyni się do emancypacji demokracji. Zbyt wiele jest moralnych kodów. W naszym własnym życiu, w granicach społeczeństwa, do którego przynależymy, mogą istnieć powszechnie przyjęte standardy, ale teoretyk nauk politycznych, który chce, by lokalne normy stosować uniwersalnie, zamiast wyjaśnić zajmującą go kwestię, wpada w błędne koło. Choć możliwe jest, że dla organizacji politycznej wypracowanie uniwersalnych norm sądenia będzie czymś pożądanym, to jednym z czynników warunkujących istnienie polityki i potrzebę tworzenia organizacji politycznych jest właśnie konflikt norm.

[...]

Jeśli zatem nie da się z wykorzystaniem eugeniki wytworzyć idealnego obywatela demokratycznego — wszechkompetentnego i samodzielnego — bo biologia nie zna ani metod kształtowania politycznej doskonałości, ani nawet nie wie, czym doskonałość jest; jeśli szkolnictwo nie potrafi wyedukować obywatela, bo nauczyciel nie może wyprzedzić przyszłych zdarzeń; jeśli moralność nie może obywatelem pokierować, po pierwsze, dlatego że słuszne i niesłuszne trzeba w poszczególnych przypadkach rozpatrywać w świetle prawdy i fałszu; po drugie, dlatego że przyjmujemy, iż nie istnieje żaden uniwersalny moralny kodeks (nie istnieje on tak czy owak) — to gdzie powinniśmy skierować wzrok, chcąc znaleźć metodę wychowania kompetentnego obywatela? Dziewiętnastowieczni teoretycy

demokracji mieli w zanadru jeszcze wiele innych propozycji i zaleceń, które nie przestały wpływać na myślenie wielu optymistów.

Jedna ze szkół swoją reformę oparła na aforyzmie głoszącym, że lekarstwem na niedostatki demokracji jest jeszcze więcej demokracji. Reformatorzy doszli do wniosku, że wola ludu jest dobra i pełna mądrości, tylko trzeba pozyskać do niej dostęp. Zaproponowali poszerzenie praw wyborczych i wprowadzenie tak wielu głosowań, jak to możliwe — przewidziano oddolną inicjatywę, referenda i odwołania, bezpośrednie wybory senatorów, prawybory, wybory sędziów itp. Argument to jednak postawiony na głowie, albowiem nigdy nie udowodniono, że istnieje taki rodzaj opinii publicznej, jaki sobie wyobrazili ci reformatorzy. Od kampanii Brayana w 1896 ta szkoła myślenia dokonała wielu imponujących podbojów w większości stanów i głęboko oddziałała na rząd federalny. Bezpośredni wpływ wyborców na rzeczywistość zwiększył się niepomrotnie — od 1896 liczba ogólnie oddawanych głosów wzrosła trzykrotnie. Jednak w tym samym czasie nastąpił spadek frekwencji w powszechnych wyborach prezydenckich z 80, 74 procent w 1896 do 52,36 procent w 1920. Najwyraźniej w przeświadczeniu tej szkoły zawiera się błąd i cały lud wcale nie ma ochoty aktywnie uczestniczyć w rządzeniu. Nie ma też żadnych dowodów na to, że osoby, które uczestniczą, mają jakikolwiek realny wpływ na przebieg rzeczy. Machiny partyjne przetrwały jak dotąd każdy atak. Zresztą, czemuż nie powinny? Jeśli wyborca nie jest zdolny pojąć niuansów bieżących problemów, bo nie ma czasu, ciekawości i wiedzy, to od tego, że częściej będzie proszony o wyrażanie swoich opinii dotyczących spraw publicznych, nie pogłębi się jego ich pojmowanie. Zwiększy się tylko mętlik w jego głowie, będzie bardziej zobojętniały i skłonny podążać za innymi.

Inna szkoła, która sama nazywa się rewolucyjną, kapitalizmowi przypisała winę za rozczarowanie demokracją. Jej przedstawiciele doszli do przekonania, że własność jest siłą i póki dystrybucja kapitału nie będzie równie szeroka jak dostęp do praw wyborczych, głosowania nie będą efektywne. Żaden poważny student nie będzie, jak sędzę, kwestionował socjalistycznego założenia, zgodnie z którym siła wpływu wywieranego przez jednostkę na społeczeństwo jest o wiele bardziej związana z jej stanem posiadania niż z abstrakcyjną obywatelskością. Ale już konkluzja, że siła ekonomiczna może być sprawiedliwiej dystrybuowana przez nacjonalizację dużych zasobów dóbr, konkluzja, że nasycenie życia robotników głosowaniami i referendum da rezultaty w postaci kompetentnych decyzji, wydają się cokolwiek wątpliwe. Z jakiego powodu uważa się, że poddawanie każdej niemal sprawy pod głosowanie ujawni w ludziach dotychczas nieodkryte pokłady mądrości i technicznej wiedzy o społeczeństwie? Ten socjalistyczny schemat ma swoje źródło w mistycznym błędzie demokracji — mianowicie w tej supozycji, że ludzie, absolutnie wszyscy, są kompetentni. Już na samym początku takie myślenie skażone jest fałszywym homeopatycznym poglądem, mówiącym, że dokładanie nowych obowiązków i zwiększanie ciężaru, którego ludzie już nie mogą udźwignąć, sprawi w końcu, że jarzmo obywatelskości stanie się zupełnie

znośne. Teoria socjalistyczna zakłada nieprzerwaną, nieustrudzoną gotowość do spełniania obywatelskich obowiązków — jest to tymczasem tylko kolosalna komplikacja interesów politycznych, które i tak są aż nazbyt powikłane.

Te rozmaite środki zaradcze — eugeniczne, edukacyjne, etyczne, populistyczne i socjalistyczne — łączy przeświadczenie, że wyborcy albo są zupełnie kompetentni, by nadawać bieg sprawom, albo że przynajmniej są na dobrej drodze, by osiągnąć ten idealny stan. Uważam, że jest to fałszywy ideał. Nie mówię: niepożądany ideał. Mam na myśli: nieosiągalny ideał — zły tylko w takim sensie, w jakim złym pomysłem jest dla otyłego mężczyzny kariera w balecie. Ideał powinien zawierać możliwość swojej realizacji. Jeśli tak nie jest, przesłania możliwości prawdziwe. Ideał wszechkompetentnego, samodzielnego obywatela jest, moim zdaniem, właśnie fałszywym ideałem. Jest nieosiągalny. Dążenie do niego jest zwodnicze. Porażka nieosiągnięcia go jest przyczyną dzisiejszego rozczarowania.

Pojedynczy człowiek nie ma zdania o wszystkich sprawach publicznych. Nie wie, jak nadać im bieg. Nie wie, co się dzieje, czemu się dzieje, co powinno się dziać. Nie mogę wyobrazić sobie, jak mógłby wiedzieć — nie ma najmniejszego powodu, by sądzić, jak robią to mistycznie nastrojeni demokraci, że przekucie niekompetentnych jednostek w masę poskutkuje powstaniem stałej siły ukierunkowującej sprawy publiczne.

O fantomowej publiczności

Zwykły obywatel czuje się dziś raczej jak głuchy widz w tylnym rzędzie sali, który usiłuje pojąć to, co ogląda, ale nie jest w stanie zachować czujności. Wie tylko, że to, co się dzieje, dotyka go w jakiś sposób. Zasady i regulacje — stale, podatki — dorocznie, wojny — niekiedy, przypominają obywatelowi, że jest wciągnięty w nieustający wir okoliczności.

Jednak te publiczne sprawy nie są, w żaden przekonujący sposób, jego sprawami. Najczęściej pozostają one niewidzialne. Kieruje się nimi, jeśli w ogóle, w odległych centrach, gdzieś za sceną, gdzie działają nienazwane siły. Jako osoba prywatna, obywatel nie wie na pewno, co się dzieje i kto pociąga za sznurki — nie wie też przez to, dokąd sam zmierza. Żadna gazeta nie informuje go o jego otoczeniu, tak by mógł pojąć ten kierunek; żadna szkoła nie nauczyła go, jak sobie go sobie wyobrazić; jego ideały częstokroć do niego nie przystają; wysłuchiwanie przemówień, wyrażanie zdania i branie udziału w wyborach nie pozwalają obywatelowi, w jego przekonaniu, wpływać na zmianę kierunku. Żyje on w świecie, którego nie może zobaczyć, nie rozumie i w którym nie ma orientacji.

(fragment rozdziału I, *Rozczarowany człowiek*)

[...] Masy widzą te ustalenia [polityczne — K.D.], oceniają je, ale wpływają na nie tylko z rzadka. Są one zbyt liczne, zbyt skomplikowane, zbyt niejasne są ich następstwa, by dłużej zajmować opinię publiczną. Ci, którzy na co dzień zajmują się rządzeniem, nie są też w żadnym ścisłym i dosłownym sensie odpowiedzialni za wielkie masy wyborców. Są odpowiedzialni wyłącznie, poza kilkoma bardziej spektakularnymi przypadkami, przed innymi politykami, urzędnikami i wpływowymi ludźmi bezpośrednio zainteresowanymi danym aktem prawnym. Współczesne społeczeństwo jest zupełnie niewidzialne, jest też niepojmowalne jako spójna całość. Jedna grupa jest widoczna tylko dla drugiej, pewne zachowania są zrozumiałe tylko dla jednej grupy, a inne dla drugiej.

(fragment rozdziału III, *Działający i gapie*)

Przełożył Krzysztof Dix